

W grudniu 1994 r. miesięcznik „Teatr” ogłosił swe doroczne nagrody aktorskie im. A. Zelwerowicza. Za najlepszą rolę kobiecą w sezonie 1993/94 uznano kreację Anny Dymnej w roli Molly Bowser w „Palcu Bożym” Caldwellia oraz Podstolny w „Zemście” Fredry.

★ ★ ★

● Pani Anno, czy ta nagroda Panią zaskoczyła? To chyba nie pierwsza nagroda w Pani karierze aktorskiej?

— Nie byłem często nagradzana aktorką. Ostatnie dwa lata w moim życiu są zupełnie nietypowe pod tym względem — niektórzy śmieją się, że obsypało mnie nagrodami jak wysypką. Otrzymałam główną nagrodę na Festiwalu Polskich Filmów w Gdyni za rolę kobiecą Katarzyny — alkoholiczki — w filmie Barbary Sass-Zdort „Tylko strach”, potem nagrodę za rolę Molly Bowser w „Palcu Bożym” Caldwellia na Festiwalu Sztuk Telewizyjnych, a teraz Nagrodę im. Zelwerowicza — nagrodę najważniejszą i najbardziej prestiżową, która najbardziej mnie cieszy.

Wcześniej dostawałam nagrody aktorskie na festiwalach sztuk teatralnych w różnych miastach: Kaliszu, Rzeszowie, Opolu...

Kiedyś, „za komuny”, szef Radiokomitego Maciej Szczepański przy-

dobną do siebie, postać. I dlatego ta rola otworzyła nowy okres w mojej pracy zawodowej, a już zaczęłam „przysypiać”. I jak dostałam nagrodę, to ucieszyłam się podwójnie, ponieważ jest to nagroda również dla Teresy...

Podobnie było z filmem „Tylko strach”. Nie byłam wcześniej sprawdzana w tego typu rolach. Barbara Sass-Zdort bardzo wiele ryzykowała. Gdyńska nagroda jest i dla niej, i dla kolegów aktorów, i dla całej ekipy, która pracowała na mój sukces.

Bo nagrody to też wyraz uznania dla naszej ciężkiej pracy. W „Palcu Bożym” zdjęcia trwały po 18 godzin na dobę. W zimie, w nie dogrzanej, drewnianej willi. Spałam po dwie, trzy godziny przez kilkanaście dni. Podobnie było z filmem „Tylko strach”. Rola Katarzyny wyciskała

teatrze i nikt tego nie zauważa i kwiatów nie kupuje. Popularność może być tyleż nagrodą, co i kara.

● A uznanie najbliższych?

— To największa nagroda. Kiedy moja mama lub tata przychodzą na spektakl — jestem najbardziej zdenerwowana. Podobnie mąż, który nagradzać mnie bez powodu nie lubi. Mój synek, kiedy był mały, oglądał bajkę w telewizji, w której grałam królową pszczół, a koleżanka motylka... I synek tak się zachwycał: „O, pani motylek, taka śliczna...”. Nie uwierzy pan, jaka ja byłam zazdrosna o tego motylka granego przez Beatę Paluch. Zapy-



Fot. PAP/CAF

— Jeśli się coś kocha, zawsze da się pogodzić i zawsze ma się siły. Moja praca to moja radość i dlatego uważam się za „z góry” nagrodzonego w życiu człowieka. Nawet wtedy, gdy płaczę, gryzę palce i nie mogę sobie z czymś poradzić.

Dzięki temu, że jestem aktorką, całe życie przebywam wśród wspaniałych, wrażliwych ludzi-artystów, którzy otwierają przede mną piękne światy, od których wszystkiego się uczę i dzięki którym również jestem taka, jaka jestem.

Nagrodą jest też to, że nigdy nie mogę powiedzieć: nudzi mi się, bo wiem już wszystko... Każda rola jest nową zagadką, nową przygodą. Wciąż muszę poznawać inne epoki, zgłębiać ludzkie dusze. To bardzo ciekawe.

Nie ukrywam też, że dzięki swojej pracy przemierzyłam ze Starym Teatrem, z filmem i z kolegami z Warszawy kawał świata. Widziałam wiele niezwykłych rzeczy i zjawisk, które czynią mnie „bogatszą”. Czasem nawet myślę, że sobie na to nie zasłużyłam.

● Czy lubi Pani podróże?

— Do podróży mam dziwny stosunek. Dla mnie wiąże się one z opuszczaniem domu, więc robię to z bólem serca. Zawsze mnie to dość dużo kosztuje. Ale kiedy jestem już na lotnisku, tzy powoli obsychają...

● Aktorstwo — jak widać — nie oszczędziło Pani wzruszeń przez te wszystkie lata. Szczęśliwych chwil i nagród. Jaka jeszcze nagrodę chciałaby Pani otrzymać od losu?

— Tak sobie myślę, że najwspanialszą nagrodą byłoby dla mnie poczucie, że będę potrzebna jeszcze parę lat...

Kilka razy widziałam, jak ludzie nagradzani jak gdyby odchodzili. Nawet mówiło się, że w Polsce niedobrze jest dostać nagrodę, ponieważ — potem stajesz się niepotrzebny. Mam nadzieję, że mnie się to nie przytrafi.

Poczucie, że jest się potrzebnym, jest marzeniem każdego aktora. Niestety od nas to nie zależy. Tak jest szczególnie z kobietami. Dużo grają, kiedy są młode i piękne. Choć wtedy zwykle jeszcze nie umieją grać! Kiedy zaczynają być lepszymi aktorkami, nikt już nie chce na nie patrzeć, bo są inne, młodsze i ładniejsze.

U mężczyzn jest na ogół inaczej, zwykle zaczynają kariery dopiero po czterdziestce, a z pierwszą bruzdą na twarzy zyskują męski wdzięk i ciekawą osobowość.

W każdej chwili ten zawód może nas „kopnąć”. I trzeba to przyjąć ze stoickim spokojem. Ja jeszcze mogę „pograć” rok, pięć lat, może dziesięć... Może będę kiedyś upiorną, a może sympatyczną staruszką... Jeżeli los da, że będę „grającą” staruszką — to będzie największą nagrodą!

● Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał MARIAN TOPOREK

Już sama praca jest dla mnie nagrodą...

Rozmowa z ANNA DYMNA, aktorką Starego Teatru w Krakowie

znał mi nagrodę za rolę Kory w „Nocy listopadowej”. W teatrze wręczono mi nawet jakieś pieniądze. Potem przeżyłam chwile grozy: SB wezwła mnie na przesłuchanie. Nie wiedziałam, co takiego złego zrobiłam...

● Dlaczego Panią wezwano?

— Pytania zadawano w taki sposób, że długi czas nie mogłam się zorientować, o co chodzi. Dopiero kiedy zobaczyłam na końcu korytarza Teresę Budzisz-Krzyżanowską, też wystraszoną — zaczęłam rozumieć. Wzywani byli wszyscy, którzy dostali nagrody od Szczepańskiego...

● Dlaczego?

— Pytali mnie, ile dostałam pieniędzy i czy wiem, ile powinienam była dostać? I czy może interesuje mnie kto i w jaki sposób roztrwonili to, co, między innymi, mnie się należało? A ja nie chciałam niczego wiedzieć, ja po prostu chciałam stamtąd wyjść. Więc ta nagroda zaowocowała tak mocnym przeżyciem...

● Potem był zdaje się „Złoty Ekran” w 1983 r.?

— Tak. I wtedy ukształtował się mój stosunek do nagród. W tamtych latach nagrody przyznawano często za zasługi pozaartystyczne, według klucza politycznego. W gronie takich zasłużonych nagradzano też artystów spoza układu — ot tak, dla uwiarygodnienia. Wtedy padło na mnie, choć akurat niczego nie grałam, żadnej roli godnej uwagi. Wiedziałam o tym, że „Złoty Ekran” mi się nie należy i przykro mi było, że nie mogę się uczciwie cieszyć z tego wyróżnienia. Bo nagroda bez poczucia, że się na nią zasłużyło jest niczym — a powinna być prawdziwą radością.

Ja jestem teraz szczęśliwa, bo choć czasem mówię, że nagrody i recenzje się nie liczą, że ważne są tylko oklaski — jednak same oklaski to mało. Takie oficjalne uznanie jest ważne i daje prawdziwą satysfakcję.

Nagrody to też potwierdzenie, że nie zawiodłam reżyserów. Np. nad „Palcem Bożym” napracowałyśmy się wspólnie z reżyserem — Teresą Kotlarczyk. To ona odnalazła mnie i zawierzyła mi. Po raz pierwszy nie grałam według swoich warunków, swego wdzięku. Po raz pierwszy mogłam wykreować inną, niepo-

ze mnie i pot, i tzy. Miesiąc zdjęć przeżyłam jak w transie. Już sama ta praca była dla mnie wielkim przeżyciem i nagrodą, a gdyńskie trofeum radosnym dopełnieniem...

● Czy wszyscy Pani koledzy tak cieszą się z tych nagród? Ludzie są przecież zawiśni...

— Moi koledzy ze Starego Teatru siedzieli przed telewizorem i kibicowali w czasie ogłaszania listy nagrodzonych w Gdyni, a ja tkwiłam zdenerwowana w garderobie... A potem przybiegli do mnie z gratulacjami.

● Czy nagrodą są również dla Pani dobre recenzje?

— Również są. Aktorzy są gdzieś tam w środku próżni. Lubią być chwaleni za dobrą pracę. Ale ja mam np. dwie recenzje z przedstawienia... w którym w ogóle nie grałam. Recenzenci bywają ogromnie nierzetelni. Sama często publicznie mówiłam, że recenzje mnie nie interesują. Ale tak po cichu, to ja je wszystkie czytam, ponieważ wiem, że nawet ze złej recenzji, złośliwej, można się czegoś dowiedzieć o sobie.

Recenzenci nie zdają sobie sprawy z tego, że współtworzą z nami teatr. Dawniej bilety były tanie, więc nie miało to takiego znaczenia. Teraz, zanim ktoś zdecyduje się wydać duże pieniądze na bilety, to wcześniej wnikliwie przeczyta, co inni sądzą o spektaklu. A niektórym recenzentom, szczególnie młodym, wydaje się, że jeśli opłują przedstawienie, to recenzja będzie bardziej interesująca. Często, kiedy czytam szczególnie napastliwe i złośliwe uwagi o twórcach i aktorach jakiegoś przedstawienia, wydaje mi się, że ludzie, którzy to piszą, nienawidzą teatru. A może nam po prostu zazdroszczą?

Dostaję mnóstwo listów od publiczności. Jakież to wnikliwe, rzetelne, choć czasem krytyczne recenzje! Powinno się je pokazać zawodowym krytykom.

● Największą chyba nagrodą dla aktorki jest popularność. To, że ludzie poznają ją na ulicy, piszą listy, że dostaje kwiaty...

— Popularność to coś, co uskrzydla i dodaje sił. Ale czasem zyskuje się ją zupełnie niezastudzenie. Można zagrać jakąś rolę w głupkowatym serialu i już się jest sławnym, a czasem grać wiele wspaniałych ról w

talam: „A mamunia?” „A mamunia, to jest mamunia”. Jeżeli dziecku się coś podoba i mówi: „Świetnie zagrałaś!”, to jest to dla mnie ogromna nagroda.

Nagrodą jest również wtedy, kiedy np. jadę w góry i gospodarze wiedzą, że przyjeżdża „gwiazda telewizyjna”, a po kilku dniach mówią: „Przećcież pańi jest normalną kobietą”...

● Czy Pani wie, jak sobie ludzie Panią wyobrażają?

— Ludzie mają niezwykle wprost wyobrażenie o życiu aktora. Myślę, że jest ono im potrzebne. Ludzie sobie marzą, że taka aktorka to ma zupełnie inne życie i inne potrzeby. Że jest strasznie bogata, jeździ wspaniałym samochodem i ma wszystko na pstryknięcie palca. Oni nie chcą wiedzieć, że my żyjemy jak normalni ludzie, że ciężko pracujemy, często więcej niż inni i w teatrze, i w telewizji, i w filmie. Oczywiście, że gdy się tyle pracuje, można sporo zarobić, ale to naprawdę jest okupione straszliwym wysiłkiem i fizycznym, i psychicznym.

Niedawno mojemu koledze, popularnemu aktorowi, założono „hal-

ter”. To taki aparat, który nosi się ze sobą przez wiele godzin i który mierzy i zapisuje akcję serca. Lekarz, który odczytywał wyniki, zapytał: „Co pan robił między siódmą a dziewiątą wieczór? W tych godzinach był pan bliższy zawałowi!” A on tylko grał jak zwykle w spektaklu!

Ludziom się wydaje, że taka aktorka, jak ja, też w długiej, wspaniałej sukni, kapiącej złotem, z manicure i nic nie robi. A ja pracuję w dzień i w nocy! A przy tym jestem normalną kobietą, matką i gospodynią. Wstaję o świcie, wyprawiam dziecko do szkoły, kiedy trzeba idę z nim do dentysty, prasuję, piore, gotuję i piekę... Nie kupuję mięsa w sklepie, ale jadę na wieś, przywożę cielaka, porcjuję i wkładam do zamrażarki. To, że się robi domowe przetwory, jest dla mnie tak normalne jak następujące po sobie pory roku.

Ludzie, którzy mnie poznają bliżej, ze zdumieniem otwierają oczy. A to są przecież normalne rzeczy, bez nich nie wyobrażam sobie życia.

● Ale przecież ten zawód to Pani pasja. Jak to Pani godzi?

